

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 22

Katowice, 5-go czerwca

1932

Na trzecią niedzielę po Świątkach.

Ewangelja zapisana u św. Łukasza, rozdz. 15,
w. 1—10.

W on czas: Zbliżali się do Jezusa celnicy i grzesznicy, aby Go słuchać. Faryzeusze zaś i uczeni szemrali, mówiąc: Ten przyjmuje grzeszników i jada z nimi! Powiedział im tedy taką przypowieść, mówiąc: Któż z was, mając sto owiec, jeśli straci z nich jedną, nie zostawia na stepie dziewięćdziesięciu dziewięciu i nie idzie za tą, która zblądziła, aż ją odnajdzie? A gdy ją odnajdzie, bierze z radością na barki swe, a przyszedłszy do domu, zwołuje przyjaciół i sąsiadów, i mówi do nich: Cieszcie się ze mną, albowiem odnalazłem moją owcę zbląkaną. Powiadam wam, że podobnież w niebie będzie żywsza radość z powodu jednego grzesznika pokutującego, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty. Albo — któraż niewiasta, mając dziesięć drachm, jeśli zgubi jedną drachmę, nie zapali światła i nie zamiecie domu i nie będzie szukać starannie, aż odnajdzie? A gdy znajdzie, zwołuje przyjaciółki i sąsiadki, mówiąc: Cieszcie się ze mną, albowiem odnalazłam drachmę, którą zgubiłam. Podobna radość, powiadam wam, jest wśród aniołów Bożych z powodu jednego grzesznika pokutującego.

NAUKA.

I.

I szemrali, że przyjmuje grzeszników i celników...

Z tem szemraniem niejednokrotnie spotkacie się w życiu. Mimo szemrania i faryzejskiego zgorszenia niech nie zabraknie wśród was nigdy duchów ofiarnych, prawdziwych synów bożych i niech zawsze śpieszą tam, gdzie największe jest nieszczęście i możliwość najgorszej kłeski.

Kiedy św. Piotr Klawer — (jego ślub: Aethiopum semper servus — na wieki pragnę być niewolnikiem murzynów) — kiedy Klawer po raz pierwszy zgromił ohydne niewolnictwo dokonywane przez własnych ziomków na murzynach w kolonjach amerykańskich, kiedy się odważył sprowadzić do lśniących katolickich świątyń tych strasznie zabrudzonych i obdartych biedaków, kiedy tych ludzi o niemiłej woni ciała poustawiał przy konfesjonalach i pousadzał w ławkach jak braci wśród braci, kiedy w kazaniu podkreślił, że Bóg ludzkości na dwie części nie dzielił, na tych z siodłem na grzbiecie i na tych jakoby z ostrogą u nogi — lecz że wszyscy równie nędzni na świat przychodzimy i równie nędzni odchodzimy z niego — wtenczas ogromna przeciw niemu powstała burza. Zamknięto mu przed nosem bramę kościelną, oskarżono przed władzą, że miesza się do rzeczy, na których się nie zna, że

przewraca w głowie murzynom; że podcina i rujnuje system gospodarczy, ten system, który to białym portugalczykom na strasznej krzywdzie czarnych miliony pozwalał zagarniać do kieszeni...

Mówilem, że z szemraniem faryzejskiem spotkacie się nieraz... Jak to niedawno było w Polsce? — Szedł kapłan do pałacu — źle; szedł do biednych — źle. Nie wychylił z zakrystji głowy — źle. Odezwał się w polityce, ukazał się na wiecu — źle! Taką to naturę ma już faryzeusz, że się gorszy dziecinnie, niemądrze i zawsze złośliwą wyczytuje intencję...

II.

I szemrali faryzeusze...

Lekarz (świeżo upieczony): „Katolicyzm? — I owszem!. Msza św.? Ależ z największą radością Bardzo chętnie na nią przyjdę. Lecz stwórzcie wy kapłani wpierw odpowiednie warunki. Ja jako lekarz jestem bezwzględnie za higieną. Jestem zwolennikiem czystego powietrza. Wasza świątynia przepełniona; w przedsiionku niema szatni! Powietrze łatwo się psuje“.

Młody kapłan: „Ja także jestem bezwzględnie za higieną. Niektóre rodziny widzą chleb zaledwie 2 razy w tygodniu. Bogu dziękujemy, że choć taki w tych biednych warunkach mamy kościół. Lecz patrzcież: Ty lekarzu wedle własnego oświadczenia, tak gorący miłośnik naszego ludu. Ty, któryś wczoraj dopiero publicznie na wiecu wspominał, żeś gotów z ludem naszym dzielić wszelkie jego dole i niedole. Tobie dla tłoku, dla cokolwiek stęchłego powietrza przez małą godzinę już dziś za trudno wytrwać z tym ludem pod jednym dachem?“

III.

Pan Jezus nie był złym rachmistrzem. Bynajmniej nie twierdził, że jedno jest więcej aniżeli 99.

Nie używając tego porównania odwołał się do prawdy zakorzenionej głęboko w sercu.

Gdy oto z siedmiorga dzieci jedno zachoruje, czyliż nie zapominasz matko o sześciorgu, a całego żaru macierzyńskiego serca ku jednemu nie zwracasz? Podobnie macie wy parafjanie, wy 99! z duszpastrzem na czele się zatrwożyć, gdy jedna ta setna zginie owieczka. Macie iść i szukać, każdy z osobna i wszyscy razem, by znowu owieczkę doprowadzić do owczarni.

Czyś już w życiu swoim kogo nawracał? Czyś już w życiu swoim kogo pozyskał dla wiary? Czyś już troskał się i lękał serdecznie, by ktoś wiary nie stracił?

A może należysz do tych, co to sądzą (mylnie oczywiście), że nawracanie i pozyskiwanie dla wiary jest wyłącznym obowiązkiem tego pana, który suknię ma o 3 3guzikach i który biret nosi na głowie.

Widzisz gdyby takiego zapatrywania byli wszyscy, wtenczas nie jedna, ale 99 owieczek byłoby zblakanych. Wtenczas wszędzie byłoby mniejwięcej tak jak w Hiszpanji. Zabrakłoby matek dających

synów na księży i parafji utrzymujących misjonarzy.

Gdyby ksiądz tak wygodnie jak ty rozumował, z apostołów Kościół św. nie byłby powstał nigdy.

Przenajświętszemu Sercu.

Oto Serce, które umiłowało ludzi...

Niosę wam wszystkim miłość, bogaci i biedni,
Niech przyjdzie do Mnie każdy, co się w życiu trudzi
I zmęczony jest troską szarych dni powszednich,
Ja ochłodzę pot krwawy schyłonego czoła
I uśmiechy wesela rozniosę dokoła.
Z płomienia Moich uczuć weźcie po iskierce
Wy, którym smutek cięży i kórtzy cierpicie,
Pograżonych w żalobie pocieszy Me Serce
I do dusz udręczonych wleje nowe życie.
Wynnani i wzgardzeni mimo swej dobroci,
Niezrozumiani w świecie pomimo cnót wielu,
Wierzcie, że ufność we Mnie dołą wam ozłoci,
Że znajdziecie otuchę w Swym Pocieszycielu.
Ja nie odmówię prośbie nigdy i nikomu,
Jeśli prosić będziecie Stwórcę w imię Moje.

O Przenajświętsze Serce! Wejź do naszych domów,
Przyjm od nas miłość, daj nam Swej miłości zdroje!

Za przyczyną św. Barbary.

Dnia 11 stycznia 1892 r. do szybu, znajdującego się na gruntach wsi Łoiki (niedaleko Częstochowy), weszło dwóch ludzi, rzekomych górników, dla kopania rudy. Pierwszy był ojcem siedmiorga dzieci, a drugi parobczek, lat 17 liczący. Niespodziewanie o godzinie 4 po południu szyb się zawalił. Powstał alarm nie do opisania. Gdy współpracownicy przywalonych przyrzekli się dobrze miejscowości, jednogłośnie orzekli, że ratunek jest niemożliwy, i że zawałeni z pewnością nie żyją. Rozeszli się tedy do domów, ile, że nastąpi wieczór i czas spoczynku.

Około godziny 9-tej wieczorem, gospodarz z Łojek, powszechnie szanowany, nazwiskiem Żyła, tknięty przecuciem, udał się na miejsce katastrofy, przyłożył ucho do ziemi i po chwili doszedł do przekonania, że obydwaj zawałeni pozostają przy życiu; słyszał bowiem ich głos, a nawet rozróżniał pojedyncze wyrazy. Najzupełniej mu się zdawało, że obydwaj mówią pacierz. Pobiegł przeto do wsi, zwołał ludzi (około 100), co mu się łatwo udało przy pomocy czynnego wójta gminy Grabówka, Fajera. — Następnie wszyscy, przy wielkiem oświetleniu z drzewa palnego, poczęli odkopywać ziemię. Ciężka to była i trudna, oraz niebezpieczna robota, bo grunt był piaszczysty, czem się tłómaczy zawałenie szybu.

Kopali noc całą, aż do godziny 2-giej po południu dostali się już tak głęboko, że ledwo może trzy do cztery łokcie dzieliło ich do zawałonych. Mogli już z nimi rozmawiać. Dowiedzieli się, że młodszy jest w wodzie po pas, a starszy w pozycji stojącej, między dwiema belkami, z których jedna tłoczyła jego piersi; obydwaj ocaleli, z powodu, że szyb nie był do dna zasypany. Drzewo, używane do podpieranania szybu tak się ułożyło, że nad zawałonymi utworzyło dach, na którym zatrzymała się ziemia. Za najmnijem atoli poruszeniem mogłoby wszy-

stko runąć i nietylko dobić tych, co już byli zawałeni, ale i wszystkich na wierzchu pracujących.

Tych przeto ostatnich ogarnęła trwoga. Spostreżli też jeszcze obok tego, iż ziemia usuwać, a rusztowanie, a raczej urządzenie tymczasowych ścian w wykonanych przez nich szerokim i głębokim dole, chwiać się poczyną. Ratując się, wybiegli wszyscy na wierzch, proszeni nawet przez zawałonych, by własne ratowali życie. Dopiero energiczne wystąpienie wójta Fajera położyło koniec trwodze i wahaniom.

Niemalym też bodźcem w tej mierze był gorliwy i kochany przez ogół parafjan kapłan, ks. Bolesław Wróblewski, pierwszy wikariusz parafji św. Barbary, do której obie wymienione wsie należą. Był on wtedy u chorego w Gnaszynie. Dowiedziawszy się o tem, co zaszło, pobiegł czempredzej do miejsca nieszczęścia, poleciał, by go spuszczone na dół, ażeby przynajmniej ostatnią religijną mógł dać pociechę tym, co mieli być żywcem zasypiani. Rozrzucająca nastąpiła scena. Radość nieszczęśliwych, pod ziemią będących, że mają przy sobie kapłana, przeszła wszelkie granice. Skoro tylko ks. Wróblewski wysłuchał spowiedzi św. przywalonych i został wyciągnięty na wierzch, robotnicy widząc, że kapłan wrócił bez szwanku, spuścili się na dół, by dzieła dokończyć. Po paru godzinach wydobyto zawałonych. Zwłaszcza jednego, starszego wiekiem, z wielką trudnością można było wydostać. Musiano mu dać piłkę, którą przerznął bal, gniojący jego piersi. Bez tego ratunek był niemożliwy.

Co się działo z ocalonymi, (opisać niepodobna. Śmiech i łzy mieszały się na przemian. Nigdy się oni nie spodziewali, by mogli żyć jeszcze. To też widząc w tem wyraźny cud Boski, następnego dnia oni i mieszkańcy obydwóch wymienionych wiosek podążyli do kościoła św. Barbary, patronki górników, na dziękczynne nabożeństwo. Leżąc krzyżem, piersią, przepelnioną gorzkim łkaniem, dziękowali Panu Bogu i św. Patronce za cudowne ocalenie.

Listy zbrodniarza na śmierć skazanego.

Wszystkich ludzi Bóg stworzył jednakowo. — Dopiero później przez wychowanie, przez przykłady, na jakie patrzą, i przez własne występki jedni wychodzą na ludzi zacnych i pożytecznych, drudzy — ot tak sobie, są ni to, ni owo, ani dobrzy, ani źli, — inni zaś wchodzą na złą drogę, stają się hańbą dla swej rodziny, szkodnikami dla narodu i wreszcie gubią samych siebie na ciełe i duszy. Choć nikt złym się nie rodzi, jednakże nigdzie złych ludzi nie brakuje. Nie każdy z nich dopuścił się wielkiej zbrodni, wielu popełnia tylko mniejsze występki, ale każdy ma w sobie te same lotrowskie skłonności, i już to tylko rzecz przypadku — jak daleko one go zaprowadzą. Kto mniejszy występki popełnił, już jest na drodze do najgorszych zbrodni. Niechże jak najszerzej rozejdą się w świat, niech dojdą do uszu wszystkich ludzi słowa napisane własnoręcznie przez takiego, co od mniejszych występ-

ków zacząwszy, odbył całą tę złą drogę, aż doszedł tam, skąd powrotu już nie ma.

Był sobie we Francji niejaki Emil Dawid. Urodził się i rósł, czytać i pisać się nauczył. Ale nie nauczył się wielu innych rzeczy, które człowiek znać powinien. Zaniechał i czytania rzeczy pożytecznych, nie troszczył się o swą duszę, o swe serce i głowę, nie dbał o dobre, nie wystrzegał się złego. Żył jak bydłatko. Aż wreszcie padając coraz niżej, przy sposobności dopuścił się zbrodni. Odszukano go, zamknięto w więzieniu i oddano pod sąd w mieście Nantach. Wiedział zbrodniarz, czem to pachnie, ale tak już był zatwardziały, że nie chciał nawet żalu i skruchy okazywać. Zachowanie się jego gorszyło sędziów i stróżów więziennych. Za zbrodnię, jakich dopuścił się na wolności, skazano go na śmierć przez ucięcie głowy. Po wyroku jednak pozostawało mu jeszcze kilka tygodni życia. Wtedy zaczął go odwiedzać w więzieniu ksiądz, nazwiskiem Patron, jeden z tak zwanych jałmużników, co się opiekują więźniami i skazanymi przygotowują na śmierć. Z początku i na księdza zbrodniarz nie zważał. Ale powoli jak wosk od ciepła, zatwardziałość złego człowieka mięknąć zaczęła. Wreszcie rozjaśniło mu się w głowie, a do swego doradcy tak się przywiązał, że zaczął tęsknić za nim i listy z więzienia do niego pisywał.

Minęły tygodnie, nadeszła straszna godzina wymiaru sprawiedliwości. Ksiądz Patron towarzyszył skazańcowi z celi więziennej do miejsca wykonania wyroku i odmówił ostatnie modlitwy za duszę umierającego w chwili, gdy głowa spadała od tułowia. Potem zaś wybrał niektóre listy Emila i posłał do wydrukowania w jednej gazecie francuskiej na użytek ludziom. Otóż i my powtarzamy te listy na naszą mowę przetłumaczone.

List pierwszy.

„Czcigodny Ojciec Jałmużniku! Piszę te słowa, aby Wam powinszować Nowego Roku i życzyć, żebyście po długim żywocie doszli do nieba. A także dziękuję Wam, Ojciec duchowny, żeście mi dali tę książkę (Naśladowanie Chrystusa). Od czasu, jak ją czytam, jestem daleko spokojniejszy. A chcę Was prosić, Ojciec, jeszcze o jedno. Jeśli taka wasza łaska, opowiedzcie moje dzieje wszystkim młodym chłopcom, ażeby ich upamiętać w porę. Powiedzcie im, że do lat dwudziestu i ja nie popełniłem żadnego występku. Ale kiedyś zaznałem się ze złodziejem i on mnie kraść nauczył. Potem stałem się zbrodniarzem. Powiedzcie im, że to droga śliska. Powiedzcie im odemnie skazanego na śmierć, aby nigdy nie kradli, bo od kradzieży do zbrodni droga niedaleka. Powiedzcie im to ode mnie, a gdy wam wierzyć nie zechcą, to im list mój pokażcie. Powiedzcie im, że tylko zapracowany pieniądz jest dobry, bo kradziony wcale szczęścia nie daje. Powiedzcie im, żeby się strzegli przedewszystkiem ludzi, którzy ich częstować zechcą wódką po szynkach, bo tacy wciągają właśnie do złodziejstwa. Wreszcie, czcigodny Ojciec, opowiedzcie im moje dzieje, aby się zastanowili nad sobą i zwrócili ku Bogu, Stworzycielowi naszemu i Zbawcy. Powiedzcie im, że nikt mi nigdy o Bogu nie mówił i dlatego zostałem zbrodniarzem.

Podpisano: Emil Dawid.

*

List drugi.

„Czcigodny Ojciec Jałmużniku! Spodziewałem się Was wczoraj i wyczekuję dziś niecierpliwie. Pragnąłbym, Ojciec, widywać Was codzień, abyście mi o Bogu mówili. To wszystko dla mnie nowe, a takie piękne, takie wzniosłe! I powiem Wam jeszcze, Ojciec, że nie żałuję, iż mnie na śmierć skazali; bo gdybym się dostał do ciężkich robót, zrobiłbym się może jeszcze gorszy niż byłem.

Emil Dawid.“

*

List trzeci.

„Teraz czuję się silniejszym i spokojniejszym wobec śmierci. Proszę Was, Ojciec, dajcie poznać moje listy innym. Chciałbym choć w ten sposób naprawić zło, które uczyniłem.

Emil Dawid.“

*

List ostatni, pisany już w sam dzień śmierci.

„Do mieszkańców w Sę Nazer!

Kochani przyjaciele! Przepraszam pokornie Boga i ludzi za moje zbrodnie. Zasłużyłem na straszną karę, jak mnie spotyka, i nie skarzę się na nią. Chcę wam powiedzieć, że umieram jako chrześcijanin. Duszę moją oddaję w ręce Boga, który mnie stworzył, i Zbawiciela, który na krzyżu przebaczył, takiemu jak ja przestępcy. Ciało moje oddaję w ręce kata dla płacenia długu Francji, mojej ojczyźnie. Oby mój przykład powstrzymał innych od zguby. Niech żyje nasz Jezus Chrystus! Niech żyje Francja.

Emil Dawid.“

*

Ten ostatni list był odczytany na głos przez kapłana u stóp rusztowania, na którym wykonywano straszny wyrok.

Maria Czeska-Maczyńska.

Taka sobie mamusia . . .

Kręciło się po dwóch skromniutkich pokoikach czworo drobiazgu, wesoly śmiech rozbrzmiewał od rana do nocy a pomiędzy nimi uwijała się ona, mamusia, takie śliczne młode kobieciatko o subtelnej twarzyczce i oczach ogromnych, cudnych, promiennych.

Mała była pensyjka, ale wystarczała jakoś, mo że dlatego, że mamusia ubierała suknię a nie suknia mamusię, że w perkalikach i płócienkach wyglądała tak uroczo, jak inne nie wyglądają w jedwabiach. A może dlatego, że kochając swoje maleństwo, mamusia zasklepiła się w domu, jak ślimak w skorupie, kochała swojego Władka, swoje kocięta, swój dom, nie pragnęła zabaw, ni hołdów. Za najlepszą zabawę uważała, gdy wśród swego drobiazgu broiła, jak starsza siostrzyczka, gdy grała z niemi w gry rozmaite lub z ziemniaków i waty robiła lalki swoim maleństwu i śmiała się wraz z niemi, gdy kartoflany król z oczyma z zapalek a brodą z waty, włożony na środkowy palec ręki i owinięty serwetką, wygłaszał przemowy, albo gdy się dwaj ziemniaczani rycerze bili na stołowe noże. Śmiały się dzieci ubawione, śmiała się i ona. I po cóż jej teatr lub kino, gdy miała to wszystko w domu, wśród swego drobiazgu? Wystarczało więc i pogodne dni miały, jak sen. I przyszedł 1914...

Władek dostał wezwanie do wojska, poszedł...

Miasteczka zagarnęli moskale, pensja nie doszła, nie było z czego żyć.

A cztery buzie czekały chleba.

Co robić? Co?

Biedna mamusia...

Gdy szła ulicą, biegły za nią głodne oczy najeźdźców pytające, bezczelne, oczekujące...

I wystarczyło, by na uśmiech odpowiedzieć uśmiechem...

Mrokiem ulic wionęła pokusa, obiecywała chleb...

A w domu... cztery głodne buzie czekały...

I przyszedł dzień, gdy zabrakło chleba, nie było go już za co kupić.

Pani Marja chodziła tego wieczoru, jak nieprzytomna, oglądała wszystkie ukochane sprzęty, które sprzedać jutro.

Który?

I na jak to długo znowu wystarczy... Co robić? Co?

Jak wyratować dzieci i siebie z tej nędzy?

O jak gorąco, jak rozpaczliwie modliła się owej nocy pani Marja.

Jutro to, potem tamto...

A potem...

Zimny lęk przejął ją na wskroś... a potem...

A za oknami wicher jesienny wył i wstrząsał szybami okien...

A potem...

W wodę chyba.

Spojrzała na łóżeczka; dzieci spały, śliczne główki odcinały się od bieli poduszek, różowe usteczka rozchylały w spokojnym oddechu, one nie znały troski o chleb, o przyszłość, szczęśliwe piskłeta.

Tysiąc myśli, projektów snuło się owej nocy pamiętnej i upadało, aż wreszcie jeden zarysował się wyraźniej i wywołał na bladą twarzyczkę mamusi promienny uśmiech, słoneczny odblask dawnych dni.

Przecież umiała piec takie pyszne ciastka. Władek tak chwalił zawsze jej drożdżowe różeczki z makiem, może i innym będą smakować, jak jemu. Jutro sprzeda swój jedyny klejnot, pierścionek zaręczynowy, kupi mąki, jaj, masła i te różeczki muszą wyżywić dzieci i ją samą.

Ranitko, mamusia wykonała swój projekt, napiekła pełny kosz, wieczorem zostawiła dzieci, zatulila się chustką i pobiegła ze swoim towarem po sklepikach. Szła od sklepu do sklepu, różeczki były ślicznie upieczone, lukrowane, smaczne. Dostała zamówienia, ale z warunkiem, by towar dostawiała rano. Moskale lubią słodczy, różeczki smakowały im nie gorzej niżeli Władowi. Odtąd co wieczór pani Marja zabierała się do swojej piekarni, dzieci dawno spały smacznie w swoich łóżeczkach a mamusia wyrabiała ciasto, wierciła mak, tarła cukier. A mamusia o szarem świtanii jesiennych dni leciała ze swoim świeżuchnym towarem do mleczarni i sklepików, zabierała pieniądze za rozsprzedane różki, kupowała nowe zapasy i cztery różowe buzie nie bywały już głodne, nie krzywiły się do płaczu, czekając napróżno... Starczyło.

Inwazja się skończyła, pani Marja dalej wypiekała swoje różeczki, tylko posmutniała, poczta przychodziła, urzędowała znowu, przychodziły wieści do wszystkich a do niej jakoś nic...

Aż nareszcie jednego dnia szary żołnierz się przywłókł o kuli, mizerny szary żołnierz o nodze drewnianej, co tak głucho stuknęła po schodach na pięterko. A w duszy szarego żołnierza tłukło się serce niepokojem, obawą, rozpaczą... czy żyją jeszcze?

Co zastanie? Może mogiły tylko, może mu obcy ludzie otworzą drzwi... Może już z jego gniazda ni ślad nie pozostał...

Zatrzymał się, bo mu tchu brakło, i jemu, co krzyż miał za waleczność na szarym kubraku, teraz nagle, zabrakło mu odwagi do przebycia tych schodów kilka, co go od domu dzieliło.

Bo jeżeli...

Po schodach zbiegła nagle smukła postać kobieca z ogromnym koszem różków, zaleciała go woń świeżego pieczywa i nagle:

— Władek!

Kosz zachwiał się i byłby rozsypał po schodach swoją smakowitą zawartość, gdyby go nie był podtrzymał.

— Maryś... Maryś... żyjecie...

— No... Żebyś wiedział, jak dzieci urosły. — Jej łzawe oczy spoczęły na jego nodze drewnianej. — Teraz przynajmniej nie wezmą cię już od nas, zostaniesz już z nami.

— Tak...

— Chodź, chodź...

Otoczyła go cisza dawnego gniazda, zdziwione, onieśmiałe, radosne i rzewne twarzyczki dzieci. Wszystko było jak dawniej, wszystko...

— Z czegoż ty ich zdołałaś wyżywić?!

Pani Marja podsunęła swój kosz i uśmiechnęła się z radosną dumą.

— W nocy pieklam a rano roznosiłam, no i jakoś było.

Ogarnęły ją ramiona szarego żołnierza, przytuliły:

— Moja ty mamusiu, moja ty bohaterko, moje ty wszystko.

Najstarszy z biskupów u Ojca św.

Ojciec św. przyjął ostatnio na audjencji ks. Franciszka Redwood'a, arcybiskupa Wellingtonu i metropolitę Nowej Zelandji. Ks. arcybiskup Redwood, liczący obecnie 94 lata, jest już 68 lat kapłanem i najstarszym wiekiem wśród biskupów. Już w roku 1924, gdy obchodził złoty jubileusz swojej sakry biskupiej, on, który w swoim czasie był najmłodszym co do wieku z biskupów, był seniorem w hierarchii katolickiej. Powołany na stolicę biskupią jeszcze przez papieża Piusa IX, sędziwy, lecz rzeźki Pasterz po raz dwudziesty pierwszy przybył do Europy, aby wziąć udział w uroczystościach Kongresu Eucharystycznego w Dublinie.